



Kochani Przyjaciele, dzielimy się z Wami tą prawdą i tajemnicą, która jest kamieniem węgielnym naszego życia z wiary! A prawda ta i tajemnica biorą swoje źródło w klimacie Świąt Bożego Narodzenia, które przypominają nam, że: „*W tym objawiła się miłość Boga ku nam, że zesłał Syna swego Jednorodzonego na świat, abyśmy życie mieli dzięki Niemu*” 1J 4,9. Dlatego sami czerpiąc ze źródeł tej TAJEMNICY, życzymy Wam gorąco, abyście i Wy doświadczyli jej przez MIŁOŚĆ... Bo „*Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością*” 1J 4,8. Niech więc MIŁOŚĆ zadamowi się na stałe w Waszych sercach i w Waszym życiu, a wtedy i sami odkryjecie Boga obecnego wśród Was przez MIŁOŚĆ!

Z ŻYCZENIEM RADOŚCI płynącej z głębin TAJEMNICY ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA
życzy ksiądz Michał

Jest taki wyjątkowy wieczór w roku, gdy wszyscy obecni gromadzą się przy wspólnym stole.
Jest taki wieczór, gdy gasną spory, wieczór, gdy łamiemy opłatek, składamy życzenia.
To noc niepowtarzalna, magiczna, noc Bożego Narodzenia.
W tę jedyną i niepowtarzalną noc życzymy wszystkim wielu głębokich przeżyć,
a także wiele szczęścia w nadchodzącym nowym 2009 roku,

Redakcja

Nadchodzą upragnione święta!

„Są w życiu takie chwile, których żałujemy, w nerwach niepotrzebnie wypowiedziane słowa. Są noce nieprzespane, przeplakane. Samotne śniadania, obiady, kolacje. Są pretensje do samych siebie, do najbliższych. Jest złość, w sercu wielka rana...”

I jest grudzień, w grudniu Boże Narodzenie. Święty czas, by przebaczyć i uzyskać przebaczenie”. W tych kilku słowach zawarty jest cały sens tego świętego CZASU, który niebawem rozpoczniemy, czasu Bożego Narodzenia.

Przebaczenie jest drogą do wolności. Człowiek może spokojnie spać, nie boli go serce, dużo się uśmiecha. Boże Narodzenie jest czasem dla tych, którzy lękają się wybaczyć. Mały Jezus dodaje odwagi, otwiera usta i pomaga

wyciągnąć rękę do zgody. Jedyne, co możemy zrobić, to... po prostu chcieć. Chęć przebaczenia szczególnie w tym okresie powinna być w nas najsilniejsza, to w naszym sercu to pragnienie powinno się narodzić. *Najlepszy prezent pod choinkę: uśmiech od dawna wyczekiwany, spojrzenie w oczy pełne zrozumienia, z odwagą przełamany opłatek, łzy przebaczenia, wspólnie spędzony czas bez telewizora, kolędy na pięć melodii śpiewane i móc usłyszeć: „Jak to dobrze, że siebie mamy”*.

W tej całej „gonitwie” zwanej życiem zapominamy o tym, jaki jest sens Świąt. A jaki jest? Święta są czasem, kiedy powinniśmy się zatrzymać, zatrzymać się w tym codziennym biegu i spojrzeć w głębie swojego serca, które pragnie

Z obu tych względów Adwent jest okresem po-bożnego i radosnego oczekiwania”.

Dwie idee adwentowe: narodzenie Chrystusa i wyczekiwanie drugiego przyjścia, podzieliły Adwent na dwie części. Dzień 17 grudnia stanowi granicę tego podziału. Pierwsza część Adwentu akcentuje oczekiwanie na drugie przyjście Zbawiciela w dniu ostatecznym. Druga natomiast jest przeznaczona na bezpośrednie przygotowanie do uroczystości Narodzenia Pańskiego i spotkanie z Dzieciątkiem przy żłóbku. Podział ten widoczny jest w tekstach liturgicznych, liturgicznych modlitwach i czytaniach biblijnych. Jako przykład posłużyć może prefacja adwentowa:

„...On przez pierwsze przyjście w ludzkiej naturze spełnił Twoje odwieczne postanowienie, a nam otworzył drogę wiecznego zbawienia. On ponownie przyjdzie w blasku swej chwały, aby nam udzielić obiecanych darów, których czuwając, z ufnością oczekujemy...”

ciąg dalszy str. 5

być zauważone. Jest to czas refleksji nad sobą, nad swoim życiem, aby odpowiedzieć sobie na proste pytanie: Kim jestem? Dokąd zmierzam? Te pytania powracają jak bumerang w naszym życiu, ale są sensem naszego istnienia. A same święta? Gdzie się podziała magia Świąt, kiedy to jako dzieci wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdki, aby wraz z całą rodziną usiąść przy wigilijnym stole? Gdzie ta dziecięca ufność, która dawała nam mnóstwo nadziei? Tak naprawdę ona jest, tylko zakurzona, ukryta w głębi naszych serc. Należy więc wydobyć to pragnienie z naszego serca i dać się poprowadzić Temu, który uczy nas ufności, przebaczenia i miłości.

Każde święta są wspomnieniem dzieciństwa, westchnieniem... pragnieniem powrotu. Zapomnieliśmy tak naprawdę o tym, że nasze ziemskie bytowanie jest chwilą... jest czasem określonym; Bóg otworzył księgę życia każdego z nas, lecz On Jedyńy wie, kiedy zostanie ona zamknięta dla świata, ale otwarta dla nieba.

Za kilkanaście dni zobaczymy Jezusa leżącego w żłóbku. Widok ten będzie dowodem ogromnego miłosierdzia i miłości Bożej do człowieka. Wtedy też, w tę cudowną noc, powinniśmy powiedzieć: „*w tę Noc Narodzenia naszego Pana wszystko w moim wnętrzu zamiera*”. Stoję z Nim twarzą w twarz w ogromnej, białej przestrzeni, nie ma niczego poza Nim. Tej wigilijnej nocy Bóg staje się człowiekiem, kocha mnie, więc jak mogę go nie szukać, skoro On przychodzi do mnie, do mego serca i czeka, aż je otworzę.

Aktualnie trwamy w okresie Adwentu, który umożliwia nam przygotowanie się na to spotkanie. Jezus nigdy nie przebywa za późno, przychodzi zawsze w odpowiednim momencie. Najważniejsze jest czyste serce, nic więcej się nie liczy... tylko serce pełne ufności, zrozumienia, przebaczenia i miłości.

D.D.

ADWENT czas radosnego oczekiwania na Mesjasza

Świętowanie tajemnic Bożego Narodzenia poprzedza okres przygotowawczy, zwany Adwentem. Historia stwierdza, że obok nastroju radosnego oczekiwania na przyjście zbawiciela liturgia adwentowa przepojona była myślą o paruzji (powtórne przyjście) Chrystusa i sądzie ostatecznym. Ma to swoje odbicie również w dzisiejszej liturgii adwentowej. W ogólnych normach Roku Liturgicznego i Kalendarza z 1969 roku czytamy: „*Okres Adwentu ma podwójny charakter. Jest okresem przygotowania do uroczystości Narodzenia Pańskiego, przez który wspominamy pierwsze przyjście Syna Bożego do ludzi. Równocześnie jest okresem, w którym przez wspomnienie pierwszego przyjścia Chrystusa kieruje się dusze ku oczekiwaniu Jego powtórnego przyjścia na końcu czasów.*”

Bóg się rodzi... czyli o Świętach Bożego Narodzenia

Od tych słów zaczyna się jedna z piękniejszych kolęd polskich. Proweniencji jednak literackiej, a nie ludowej jak zdecydowana większość naszych kolęd i pastorałek. Jej autorem jest Franciszek Karpiński, poeta polski z okresu oświecenia; przedstawiciel sentymentalizmu, choć w samej kolędzie ani czułościowości, ani rzewliwości czy melancholii w nadmiarze nie ma. Co oczywiście jest typowe dla literatury sentymentalnej, także wyraźne w poezji Karpińskiego. Dlatego „Pieśń o narodzeniu Pańskim”, bo taki jest oryginalny tytuł kolędy, jest czymś wyjątkowym w naszej poezji, jak i tradycji narodowej. W poezji, bo Karpiński posługuje się w niej kontrastami, przeciwieństwami, czyli antytezami. Są to zestawienia w wypowiedzi pojęć lub sądów sprzecznych lub kontrastowych, którymi przesycona jest kolęda F. Karpińskiego, co stanowi o jej oryginalności i wyjątkowości. Przytoczmy choćby kilka antytez: „ogień krzepnie, blask ciemnieje”, „ma granice nieskończony” czy „Pan niebiosów obnażony”. W niewielu kolędach pojawia się motyw ojczyzniany, a w tej jest mocno zaakcentowany w słowach: „Podnieś rękę, Boże Dziecię./ Błogosław ojczyznę miłą./ W dobrych radach, w dobrym bycie/ Wspieraj jej siłę Swą siłą./ Dom nasz i majątność całą./ I Twoje wioski z miastami(...)”.

Nadto „Pieśń o narodzeniu Pańskim” opatrzona jest arcypolską muzyką, bo napisana jest w rytmie poloneza, jednego z najbardziej polskich i najbardziej znanych na świecie dzięki muzyce F. Chopina. Sporo w niej patetyczności (w słowach i muzyce), podniosłości i uroczystego charakteru, co także przydaje jej osobliwego uroku. Wykonywana i śpiewana w kościele przy wtórze organów, brzmi nie tylko niesamowicie pięknie, ale gra na naszych emocjach i powoduje, że czujemy nieomal namacalnie wielkość narodzin Syna Bożego, ale i wszystkiego, co wiąże się z religią chrześcijańską. Jak gdyby w kontraście z podniosłością „Bóg się rodzi” i jej literackością odczytujemy inną polską kolędę „Pójdźmy wszyscy do stajenki”. Ze względu na jej elementy naiwności i pewnego infantylizmu, co jest zupełnie zrozumiałe w kontekście treści,

jak i melodyki utworu. Posługiwanie się wieloma zdrobnieniami czy spieszczaniami to cecha charakterystyczna zarówno dla poezji ludowej, jak i dziecięcej. Bo ta, jak i większość kolęd pochodzi z tradycji wiejskiej, czyli ludowej. Stosunek uczuciowy najbardziej intymny czy dodatnią barwę uczuciową wyrazów uzyskuje lud, posługując się właśnie zdrobnieniami i spieszczaniami. Nic więc dziwnego, że tak wiele jest ich w naszych kolędach i pastorałkach.

Sądzę, że na uwagę zasługuje również przepiękna pastorałka o ludowych, czysto górskich korzeniach pt. „Oj, maluśki, maluśki”. Wyraża ona nie tylko hołd złożony nowo narodzonemu Synowi Bożemu, ale i dziecku, co prawda wyjątkowemu i świętemu, ale dziecku ludzkiemu, które przyszło na świat i trzeba je przyjąć do grona ludzkiego jak każdego innego. No i język, który tak silnie oddziałuje na śpiewających i słuchających, czyli gwara góralska (podhalańska), a także melódka typowa dla pieśni górskich.

Nie można zapomnieć o kołysankowej, niezwykle subtelnej w wyrażaniu stosunku do nowo narodzonego Dzieciątka Bożego, kolędzie „Lulajże Jezuniu”, która była tak bliska sercu Fryderyka Chopina, że jej trawestacji dokonał w jednym ze swych utworów. Była ona także ulubioną kolędą Jana Pawła II, dlatego upowszechnił ją w Watykanie, a tym samym w całym chrześcijańskim świecie, bo wykonywana była w wigilijny wieczór przez znakomitych śpiewaków. Zresztą trzeba dodać, że jej wykonanie przez śpiewaka operowego czy zawodowego – to dla niego nie lada sztuka. Wyjątkowość tonacji, jej subtelność bliska jest choćby „Ave Marii” Bacha – Schuberta. Stąd wynika trudność w jej wykonaniu, ponieważ tylko mistrzowskie uwypukli piękno tej niezwykłej kolędy, jej oryginalność i nieprzeciętną urodę muzyczną.

Oczywiście, wszelkie rekordy popularności na świecie bije napisana w XIX wieku kolęda „Ci-

cha noc”, której melódka zbliżona jest właśnie do „Lulajże Jezuniu”. U nas śpiewana i wykonywana bardziej oficjalnie, a nie w domach w czasie Świąt Bożego Narodzenia.

Wolimy jednak nasze polskie, narodowe kolędy ze względu na ich swojskość i znajomość prawie od małego dziecka. Tutaj jednak zatrzymuję się, bo dzisiaj do końca nie jestem o tym przekonany.

Widzę to, że wspólne, radosne śpiewanie w domu przy choince kolęd „wychodzi” czy już „wyszło” z mody. Słucha się kolęd i pastorałek z płyt CD lub DVD w różnych wykonaniach, często bardzo pięknych i artystycznych. Nie śpiewa, bo ta tradycja powoli zamiera, a szkoda. Myślę, że jest to nie tylko wyzwanie dla rodziców, ale i dla szkoły. Istnieje coś takiego jak karaoke, dlatego powinniśmy z jego pomocy korzystać i śpiewać z naszymi dziećmi czy wnukami kolędy polskie i pastorałki. Bo tym się między innymi różnimy od Niemców czy Francuzów, że mamy bogactwo kolęd i przez wieki śpiewaliśmy je w domach i kościołach. Dlatego mamy rezygnować i w imię czego (czyli tzw. nowoczesności) z tej pięknej, polskiej tradycji.

Krzysztof Bauer

Sentencja pochodzi z księgi złote myśli
Twórców Wizerunku Polski:

„Czyń swoje życie użytecznym, służąc bliżnim. Spójrz na życie drugiego człowieka okiem czynnej miłości”.

„Musicie być mocni mocą miłości, która jest potężniejsza niż śmierć, która wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma – w tej miłości, która nigdy nie ustaje”.

Jan Paweł II,
Kraków – Błonia 1979.
(nadesłane do redakcji przez K.S.)

Świąteczny relaks

Adwent. Przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia dobiegają końca. Zarówno te związane z wymiarem duchowym, jak i materialnym. Większość z nas ma już za sobą rekolekcje, spowiedź, gruntowne porządki i duże zakupy. Pozostała jeszcze cała krzątania, czyli najcudowniejszy przedświąteczny czas dla dzieci, a najbardziej pracowity dla pań domu, to znaczy gotowanie i pieczenie różnych pyszności. Czas w pewnym sensie magiczny, bo zapada każdemu głęboko w pamięć i serce. Czas przepełniony aromatem pierników, makowców, kutii, barszczu z uszkami i smażonych lub pieczonych karpi, nad którym dominuje zapach barwnie przystrojonej świeżej choinki, kuszącej obietnicą prezentów. Czas, którego zapamiętany z dzieciństwa klimat przenosimy w nasze dorosłe życie, ale bywa czasem i tak, że go nie potrafimy odnaleźć w dzisiejszej rzeczywistości. A szkoda, bo w polskiej tradycji

Boże Narodzenie to święta szczególnie: radosne, rodzinne, na które czeka się cały rok.

Święta to również czas pojednania, wzajemnego przebaczenia, co pozwala niejednokrotnie przewartościować otaczającą nas rzeczywistość i relacje z naszymi bliźnimi. Jest to świetna okazja, żeby móc zacząć wszystko jeszcze raz, a to za sprawą małej Bożej Dzieciny i ubożego ziółka. Czyż to nie jest cud? Czyż między innymi nie dlatego właśnie tak dużą wagę przywiązujemy do tradycji rodzinnych związanych z Bożym Narodzeniem? Im dłużej żyję, tym bardziej dostrzegam różne pozytywne aspekty rodzinnego świętowania. Wspólna wigilia, śpiewanie kolęd, rozmowy, pasterka o północy, wreszcie świąteczne smakołyki, spożywane naturalnie z umiarem – wszystkie te czynniki sprzyjają integracji rodziny, co jest niezwykle cenne w dzisiejszych „rozbieganych” czasach. Niewątpliwie dobrze wpływają na nasze samopoczucie zarówno psychiczne, jak i fizyczne. Nie od dzisiaj wiadomo, że nasza physis i psyche są nieroz-



zerwalnie ze sobą związane, a więc i oddziałują na siebie wzajemnie, o czym świadczy chociażby znana starożytna sentencja łacińska „Mens sana in corpore sano” („W zdrowym ciele zdrowy duch”). Prawda ta była oczywista dla wszystkich praktycznie aż do początków XIX wieku, kiedy na dobre upowszechniła się doktryna medycyny nowożytnej i wówczas człowieka przestano postrzegać w aspekcie psychosomatycznym. Człowiek powoli zaczął stawać się zbiorem zdrowych lub chorych komórek (organów). I tak zostało do dziś. Nie będę tu tłumaczyć, dlaczego tak się stało, gdyż jest to temat na zupełnie inną okazję. Nie będę też robić wykładu z historii medycyny, bo nie o to chodzi. Ważne jest, żeby mieć świadomość pewnych procesów i zacząć postrzegać siebie jako jednostkę funkcjonującą w pewnym kontekście kulturowym, rodzinnym i biologicznym, jako element swoistego kosmosu, gdzie wszystkie jego składowe wzajemnie na siebie oddziałują. Istotne jest to, żeby nauczyć się czerpać dobrą energię psychiczną z kontaktów z drugim człowiekiem. W naszych zdehumanizowanych czasach bardzo łatwo jest zgubić tę wartość. Często wydaje się nam, że wystarczy otoczyć się różnymi technicznymi gadżetami, żeby życie nabrało lepszej jakości, stało się ciekawsze, dostarczyło mocnych wrażeń. Niestety, idąc tą ścieżką, zamykamy się w swoim egoizmie i nic ponadto. Dlatego skorzystajmy z okazji, jaką są Święta Bożego Narodzenia i spędźmy je, a przynajmniej ich część, w gronie najbliższych, ale nie na oglądaniu programu telewizyjnego czy kolejnego filmu. Nie chodzi o to, żeby siedzieć obok siebie w milczeniu. Sięgnijmy raczej do tradycji kultury staropolskiej, przy czym nie mam na myśli ogromnych ilości jada i trunków spożywanych na tę okoliczność, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie wlewał w siebie kilku litrów wina czy piwa, ale o wspólne rozmowy, lekkie, dowcipne, przyprawione świątecznymi smakowitościami i dobrym trunkiem. Oczywiście jeszcze raz podkreślam, że w rozsądnych ilościach, żeby mnie nikt nie posądził o propagowanie używek. Chodzi tu o kieliszek dobrego wina czy szampana. Nie od dzisiaj wiadomo, że mają one pewne bezcenne wartości zarówno dietetyczne, jak i lecznicze. Słynna okowita, to alkohol etylowy, który był uznanym środkiem leczniczym już co najmniej od XVI wieku, i to zarówno przez medycynę oficjalną, jak i domową. Niespełna sto lat temu w wiodących europejskich klinikach psychiatrycznych depresje leczono szampanem, właśnie ze względu na zawarte w nim składniki, a wino i piwo w dobrym gatunku stosowano w leczeniu chorób u dzieci w różnym wieku, z niemowlętami łącznie. Nie od dziś wiadomo również, że niewielkie ilości alkoholu redukują lęk, a strach czy stres obniżają odporność immunologiczną. Tak więc spędźmy te Święta w gronie bliskich i przyjaciół, rozkoszując się tradycyjnymi potrawami z dodatkiem kieliszka dobrego wina, bowiem nic tak nie poprawia samopoczucia, jak biesiadowanie w dobrej kompanii. Wesołych Świąt!

MJS

Magia, okultyzm, wróżbiarstwo i niebezpieczna muzyka jako zagrożenia współczesnej młodzieży

Każdy przeciętny młody człowiek wie, co zrobić, kiedy widzi przed sobą kominarza, czarnego kota, wie, co oznacza 13. dzień miesiąca przypadający w piątek, etc. Te z pozoru błahe sprawy są tak naprawdę zachowaniem magicznym, które – podświadomie – ma na celu oblaskawienie rzeczywistości, by stała się dla nas bardziej przychylna. Ilu z nas korzystało z usług wróżki, bioenergoterapeuty czy też czytuje horoskopy? Wszystko to pokazuje, jak młody człowiek jest podatny na działania tego typu ludzi. Świat magiczny staje się dla niego pociągający, lepszy, ponieważ zawiera elementy nadprzyrodzone, które tylko pozornie pomagają zlikwidować niebezpieczeństwa i bóle życia ludzkiego takie jak np.: choroby, zły los czy też wszelkie niepowodzenia.

Współczesna młodzież jest szczególnie narażona na działanie tego typu sił. Bunt, który jest przeżywany przez młodego człowieka, staje się receptą na życie. Wydaje mu się, że w związku z tym, iż żyje w czasach rozwoju cywilizacji, techniki i nauki, zna się na sprzęcie elektronicznym lepiej niż rodzice, poznał lepiej życie i nikt mu nie może zarzucić, że jest na to za młody. Wszelkie próby przekonania go o jego pomylce prowadzą do odsunięcia się od rodziny, a co za tym idzie, stania się bardziej skłonny do ulegania wpływom tych, którzy potrafią umiejętnie wykorzystać jego poglądy przeciwko niemu.

Tak np., nie wiedząc, co ze sobą zrobić, młody człowiek idzie do wróżki, by powiedziała mu, jaka go czeka przyszłość i jakie kroki powinien podjąć, by osiągnąć przepowiedziane przez nią szczęście, a uniknąć nieszczęścia. Kiedy owe szczęście nie nadchodzi, wraca do wróżki, ale nie po to, by ją oskarżyć o kłamstwo, lecz by zapytać, gdzie popełnił błąd.

Jeżeli dopada go choroba, a współczesna medycyna nie daje mu szans na wyjście z choroby, wtedy taki człowiek kieruje się do bioenergoterapeutów, lekarzy niekonwencjonalnych czy też innych tego typu cudotwórców. Jak to możliwe, że młody człowiek, wychowany w wierze katolickiej, kieruje się do takich osób? Czyżby zapomniał, że cuda może czynić tylko Bóg? Jeżeli Jego celem byłoby uzdrowienie danej osoby, to nie byłaby ona chora.

Wracając jednak do owych „cudotwórców”. Wiadome jest, że jedna terapia nie wystarczy, potrzebne są następne wizyty, za które trzeba zapłacić. Jeżeli ma się szczęście, owy „lekarz” pomoże, jeśli jed-

nak patrzemy realistycznie, to nic nam to nie da.

Kolejną pułapką na młodego człowieka może być muzyka. Może to wydawać się dziwne, ale przecież wiadome jest, że muzyka oprócz dźwięków instrumentów, śpiewu to także ładunek emocji i uczuć zawarty w każdym takcie utworu. Nie dla każdego muzyka celem gry jest sprawianie radości innym, dzieląc się swą muzyką i pozytywnymi uczuciami. Dla niektórych celem jest ukrycie satanistycznych elementów, które nie dla wszystkich są widoczne. Teksty piosenek np. rockowych czy metalowych są często śpiewane w obcych językach, a przeciętnemu słuchaczowi albo nie chce się ich tłumaczyć, albo też nie potrafi, gdyż nie zna danego języka. Co za tym idzie, może się zdarzyć tak, że słuchając jakąś piosenkę, śpiewając jej tekst, (co można zrobić, nawet nie znając jakiegoś języka obcego), możemy np. wzywać szatana lub wyznawać nienawiść do ludzi i boskiego stworzenia. Są to elementy satanistyczne, które zaczynają działać na człowieka z wielką siłą nawet wtedy, gdy jest on nieświadomy swoich czynów.

Dla młodych ludzi staje się bardzo pociągające przybliżenie do satanistycznych aspektów życia poprzez uczestniczenie w koncertach czy słuchanie muzyki zawierającej takie elementy, gdyż zespoły tworzące taką muzykę potrafią ją świetnie „sprzedać” poprzez robienie ogromnego show na koncertach: maski, dym, przeraźliwe krzyki, i tego typu elementy. Oferują młodzieży taki „satanizm w stylu wesołego miasteczka”, gdzie jeździ się diabelskim młynem... niestety bez zapiętych pasów. Na takich koncertach, aby było bardziej widowiskowo, niektóre zespoły organizowały swego czasu tzw. czarne msze, które prowadzą do tego, że dzieciaki, które wzięły to sobie do serca (i głowy), same organizowały takie msze, demolując cmentarze.

Należy pamiętać, że młody człowiek ma bardzo podatny na wpływy umysł i nawet nie chcąc czynić nic złego, może wpaść w sidła satanistów czy też „magicznego świata”. Trzeba więc zachować szczególną ostrożność w wychowywaniu dzieci, by nie uznawały nas za wrogów, ale tych, którzy poprzez sztuczki starają się ich zjednać, a także trzeba nauczyć ich rozpoznawać takich ludzi i jak należy im się przeciwstawić.

MZ

„Jesień już, trzeba zmienić kurs...”

Ponad sto lat temu, w 1903 roku, w Amsterdamie zbudowano kuter gafłowy (gafle to rodzaj ożaglowania) „Złota kaczką”, który po wojnie, w nie do końca jasnych okolicznościach, trafił do Polski.

Kuter wykorzystywany był w najróżniejszy sposób – jako przystań żeglarska, baza nurków, świetlica szkolna, statek towarowy – w zależności od potrzeb kolejnych armatorów, czyli osób eksplloatujących go.



W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku „Złota kaczką” służyła jako miejsce do przedstawiania wystaw etnograficznych, a następnie popłynęła z Gdańska do Wrocławia, na swoim pokładzie prezentując część okazów z Wystawy Ziemi Odzyskanych.

Kolejne zmiany właścicieli, następujące w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych spowodowały, że stan techniczny barki pozostawiał wiele do życzenia. W efekcie zaniedbań i kradzieży osprzętu, wyposażenia oraz zdewastowania statku podczas nieumiejętnego i niedokończonego remontu, „Złota kaczką” była w tak fatalnym stanie, że właściwie możnaby ją skazać na śmierć. Wrak statku, zalanego aż po dziób na przystani „Burzy”, w 1990 r. klub przekazał harcerzom z 25 WZDH.

Kiedy po wypompowaniu z wraku czterdziestu ton wody barka podniosła się z dna, okazało się, że może być przydatna jako magazyn sprzętu i miejsce zbiorów harcerskich, i za takie służyła na początku lat dziewięćdziesiątych. W 1995 roku rozpoczęto remont statku zarówno z zewnątrz, jak i w środku. Obecnie „Złota kaczką” jest najstarszym statkiem w Polsce i jedyną tego typu jednostką pływającą.

Opiekujący się barką harcerze z HOW „Zatoka” mają co do niej dalekosiężne plany, w których „Złota kaczką” – zmodernizowana i odpowiednio wyposażona, z ponad dwudziestoosobową załogą – miałyby w przyszłości odbywać rejsy po Bałtyku i tylko na zimę wracać do Wrocławia. Stałaby się wówczas niezwykle ciekawym eksponentem Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, a także naszego miasta i województwa dolnośląskiego.

Od 10 października tego roku „Złota kaczką” służyła jako miejsce wystawienia eksponatów wystawy „Rzeka-Miasto-Ludzie”, znajdującej się przy bulwarze Ksawerego Dunikowskiego, tuż przy Hali Targowej. Wystawa prezentowała znaczenie gospodarcze, historyczne i kulturowe Odry, zaś jej największą atrakcją i zarazem największym eksponatem była właśnie zaby-

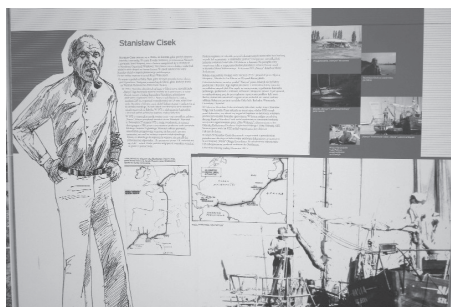
kowa barka. Na wystawie można było obejrzeć fotografie, przedstawiające życie i pracę ludzi związanych z rzeką, mieszkających na statkach, gdzie toczyło się całe ich życie – praca, narodziny dzieci, ogniska domowe, a nawet ogródki i chów zwierząt. Całość wystawy prezentowała tak ludzi, jak i statki, porty, infrastrukturę Odry, wszystko co związane z żeglugą śródlądową.

„Złota kaczką”, która 105 lat temu pływała pod żaglami, kiedy służyła żeglarzom śródlądowym tu, na Odrze, ale nie tylko, bo pływała też po Wiśle, cumowała w Pucku, z końcem listopada udala się na odpoczynek zimowy do portu przy ulicy Długiej.



Barkę, na razie bez napędu, popychała „Wilga” – motorówka robocza z wrocławskiej stoczni remontowej – za sterem której stał kapitan Mirosław Grabowski i pomocnik Ryszard Kulig. Kapitanem ostatniego rejsu „Złotej kaczki” w tym sezonie był Grzegorz Bakuliński, dowodzący załogą harcerzy-żeglarzy z „Zatoki”.

Ostatni rzut oka na ekspozycję na nabrzeżu – plany, ryciny, zdjęcia pokazujące życie ludzi rzeki, wspomnienie powodzi z 1997 roku – i weszliśmy na pokład. Zapowiadał się wyjątkowy rejs. Dotychczas barkę można było zwiedzać jedynie przycumowaną do nabrzeża.



Po odejściu od kei pod pokładem zrobiło się ciemno – prąd „został” na brzegu. Żeby obejrzeć eksponaty ze środka barki, potrzebne były latarki. Pierwsze chwile rejsu spędziłam, przyglądając się zdjęciom Mieczysława Wróblewskiego i Janusza Fąfary. Kładzenie komina, malowanie kotwicy, prace marynarskie, cumowanie, barki, praca przy kotle, smołowanie fordeku. W „Gazecie Robotniczej” z 1959 roku Czesław Bielec pisał: „Pod pokładem są mieszkania, schodzi się tam z pokładu wąskimi schodami. Przeważnie jest to pokój i kuchnia, pomieszczenia mlautkie, lecz przytulne i miłe. Kuchnia jak naparstek jest praktycznie urządzona. Na niektórych barkach starych wodniaków można się zachwycić pięknymi meblami

budowanymi specjalnie do mieszkań na barkach. Są małe, praktycznie zbudowane i często pięknie stylizowane. Jak przy wielu domach na lądzie, tak i tutaj mają wodniacy ogródki, są kurki i pieski. Ogródek to coś w rodzaju dziecięcej piaskownicy. Rośnie pod opieką gospodyni sałatka, szczypiorek i inne jarzyny. Piesek na pokładzie ma budkę. Gdzieś za rogiem sterówki, w dziobie, pogadują kurki”. Tak, to było niezwykle życie. Po drugiej wojnie światowej żegluga w Polsce odgrywała wielką rolę, szczególnie gospodarczą. Praca na rzece była jednak niezwykle ciężka, wymagała wielu wyrzeczeń. Ludzie, którzy decydowali się na nią, wiązali z rzeką całe swoje życie, tak pracę jak i prywatność. Była dla nich źródłem utrzymania i domem.

Oprócz zdjęć i fragmentów artykułów pod pokładem zauważyłam drewniane skrzynie, liny, lampy, plecione odbijacze i – oczywiście – dzwon, TUR-081, efektowny, błyszczący. Dalej schematy holowników, fotografie i opisy holowników z Holandii. W 1947 r. Ministerstwo Komunikacji zgodnie z kontraktem holenderskim, który dotyczył zakupu dwudziestu dwóch holowników parowych, powołało odrzańską komisję odbiorców. Kiedy w lutym czterdziestego dziewiątego roku Polacy przybyli do Holandii, aby odebrać zamówione statki, Holendrzy wielce się zdziwili, gdy okazało się, iż polscy fachowcy nie cofają się przed wskoczeniem w kombinezony i osobistym sprawdzeniem każdego zakamarka statku, punktując holenderskich stoczniovców, wykazując usterki i niedociągnięcia, zaskakując dokładnością, rzeczowym podejściem. Tym samym szybko zyskali szacunek Holendrów.



Wysłaliśmy na pokład. „Złota kaczką” mijala właśnie prawą burtą wieżę ciśnień. „W basenie obok wieży – mówił kapitan – zatopiona była nasza barka. Nad powierzchnię wody wystawał jedynie dziób”. „Po dziewięćdziesiątym roku – mówił dalej kapitan Bakuliński – transport śródlądowy przestał być tak wykorzystywany jak wcześniej. Zwiększył się wpływ kolejnictwa i transportu samochodowego”.

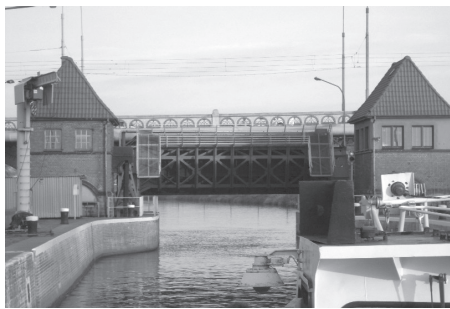
Za chwilę po lewej stronie ukazał się jaz Szczytniki. Zbudowany w XVII, przebudowany w XIX wieku – udało się zachować jego pierwotną formę. „Mamy nadzieję, że pozostałe elementy tego węzła wodnego, śluzy, kanał miejski, również zostaną odbudowane. To zasługują na uwagę, bo jest dziedzictwem kulturowym Wrocławia. Możemy pokazać się na przestrzeni Europy i świata, gdyż takim nasyceniem jazami, śluzami i ciekawostkami technicznymi oraz dziedzictwem cywilizacyjnym nie może się pochwalić chyba żadne inne miasto w Europie”.

Zbliżamy się do kładki Zwierzynieckiej. Po lewej mamy Ogród Zoologiczny cały teren należący do niego – kiedyś można było przybić tu do brzegu i zwiedzać zoo, wchodząc przez bramę od strony Odry. Cały pas wzdłuż płotu ogrodu był spacerownikiem, na którym wrocławianie spędzali czas, łącząc przyjemność spacerowania i żeglowania, czy choćby wiosłowania. Obecnie tereny te są zaniedbane, miejsca między główkami na rzece zamulone, zarośnięte, coraz trudniej żeglować, skoro rzeka nie jest już tak uregulowana, jak być powinna. Trzeba uważać, czy przed dziobem nie czeka jakaś niespodzianka, mielizna, zwalone drzewo. Jeden z załogantów musi stać „na oku”, czyli obserwować powierzchnię wody, uważając na każde jej zmarszczenie.

Pogoda jest piękna, wprost wymarzona na ostatni rejs tego roku. Słońce ogrzewa zmrożone twarze i dłonie, choć rankiem z pokładu zeskrobywano lód. Mijamy ośrodki żeglarskie po prawej stronie, z tyłu zostaje Ślęza, Rancho, dopływamy do śluzy na Opatowicach, a za nią skręcamy w lewo, w stronę mostu Swojczyckiego. Na moście niespodzianka – macha do nas mama kapitana, która przyszła popatrzeć na płynącą do Zatoki „Złota kaczkę”. Na zewnątrz jest chłodno, ale w sercach robi się ciepło.



Nad nami kolejne mosty – Warszawskie. Ten stary i nowiutki, tegoroczny, budowany w taki sposób, że nasuwano go nad rzeką, na jej drugi brzeg. Kawalek dalej most kolejowy – z łoskotem przemyka nad nami pociąg. Jeszcze tylko most Trzebnicki, Osobowicki i niezwykła, bo z oryginalnie otwieranymi wrotami (do góry) służą Różanka. Ostatnia możliwość, aby wyjść na brzeg, zanim zakończymy spływ.



Słońce zachodzi za horyzont – raptownie robi się coraz zimniej. Rozgrzać się nie pomaga nawet gorąca kawa czy herbata. Stopy marzną, tupiemy i wypatrujemy mostu Milenijnego – przed nim

ADWENT czas radosnego oczekiwania na Mesjasza

Dokończenie tekstu ze strony 1.

Natomiast prefacja na drugą część Adwentu brzmi: „...*Jego przepowiadali wszyscy prorocy, Dziewica Matka oczekiwała z wielką miłością. Jan Chrzciciel zwiastował Jego przyjście i ogłosił Jego obecność wśród ludu. On już dzisiaj pozwala nam cieszyć się tajemnicą swego Narodzenia, aby, gdy przyjdzie, znalazł nas czuwających na modlitwie i wdzięczności...*”

Zwrotnikiem wszystkich tekstów liturgii adwentowej obydwu części jest czytanie ciągle Księgi Proroka Izajasza. Czytanie to obrazuje tęsknotę za wyczekiwany Mesjaszem. Najbardziej charakterystyczne jest zdanie: „*Niebiosa, spuście nam Sprawiedliwego jak rosę, niech jak deszcz spłynie z obłoków, niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela*” (Iz 45,8). Śpiewane raz jako antyfony, to znów jako pieśń.

Czytania ewangeliczne według św. Mateusza i według św. Łukasza mówią o wydarzeniach, jakie bezpośrednio poprzedzały narodzenie się Zbawiciela. Czytania te ukazują także postacie Matki Bożej i św. Jana Chrzciciela, które Opatrzność Boża związała ze Zbawicielem w sposób szczególny.

zakręcamy w lewo i już jesteśmy w Zatoce. Teraz kilka trudnych manewrów, żeby nie wpłynąć na mieliznę i ustawić barcę w odpowiedni sposób przy nabrzeżu. „Wilga” spełniła już swoje zadanie pchacza – odpływa, machamy do jej załogi. Robi się coraz ciemniej, trudno ocenić odległość – wyskakuję na brzeg, o mało nie skręciwszy sobie nogi w kostce. Jest tak zimno, że z ust unosi się para. Cztery godziny na pokładzie – zmrożona, zmęczona, ale nie zamieniłabym tego na nic! „Złota kaczkę” – do zobaczenia w przyszłym roku! Ahoj!

tekst: Agnieszka Gil
zdjęcia: Marcin Wrzesiński

Na bogate w łaski przyjście Zbawiciela musi być przygotowana droga do serca ludzkiego przez pokutę. Stąd liturgia adwentowa stawia przed oczyma proroka Izajasza i poprzednika Pańskiego Jana Chrzciciela jako wzory pokuty: „*Głos wołającego na pustyni: gotujcie drogę Panu, dla niego prostujcie ścieżki!*” (Mk 1,3; Iz 40,30).

Symbolika adwentowa jest nadal ogromna. Nadal odprawiane są **roraty** ku czci Matki Przenajświętszej. Takie zwyczaje jak świeca roratnia, wieniec adwentowy czy kalendarz adwentowy są godne polecenia jako elementy charakterystyczne dla tego okresu. **Czyste światło jutrzeńki** jest symbolem Niepokalanej, która przyniosła ludzkości Chrystusa – Słońce. **Wieniec adwentowy** z gałęzi jodły z czterema świecami jest symbolem przygotowania i nadziei. Wieniec ten pojawił się u nas po pierwszej wojnie światowej. **Kalendarz adwentowy** ma zwykle kształt drabiny, po której Dzieciątko Jezus zstępuje w kierunku żłóbka w stajence. Symbolizuje Maryję, która stała się drabiną niebieską, przez którą Bóg zstępuje na ziemię.

To są tylko symbole, ale nic nie zastąpi nam czystego serca, w którym Jezus będzie chciał mieszkać nie tylko w czasie świąt, lecz przez całe nasze życie.

DG



Choinka na Święta

Zaczyna się zmierzchać, nadchodzi wieczór. Witek wygląda przez okno zza firanki. Czeka, aż pojawi się pierwsza gwiazdka na niebie. Całe szczęście, że niebo jest bezchmurne. Serce mocno mu bije, kiedy dostrzega srebrzystą, migoczącą gwiazdkę na nieboskłonie. Pędzi do pokoju, gdzie stoi wystrojona choinka i stół nakryty odświętnie białym obrusem i zastawiony wigilijnymi potrawami. Oczy mu błyszczą jak dostrzeżona gwiazdka na niebie. Jest szczęśliwy jak nigdy dotąd, gdy chwyta rękę pani Ireny i mówi, że gwiazdka wigilijna już weszła. Przytula się do niej i czuje jej rękę na swoich włosach.

– Tak, Wiciu, już przynoszę barszcz z grzybami. A ty siadaj. Pewnie zgłodniałeś, prawda?

Po chwili pani Irena przynosi wazę z pachnącą zupą i stawia na stole.

– Zmówmy najpierw modlitwę, chłopcze. Razem.

Powtarza za panią Ireną „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”, oczy robią mu się mokre, gdy pani Irena bierze do ręki opłatek i składa mu życzenia, najpiękniejsze, jakie dotąd słyszał. Całuje twarz tej kochanej kobiety, która zaprosiła go do siebie na Święta. Drżącym głosem składa jej także życzenia wszystkiego, co dobre i najlepsze, płynące z serca. Chce mu się płakać, ale wstrzymuje się ze wszystkich sił.

Siadają przy stole. Barszcz z grzybami dymi z jego talerza. Jest cudownie smaczny. Jedzą i patrzą na siebie, uśmiechając się. Z początku niewiele mówią, jak to przy stole i jedzeniu. Pani Irena dopytuje się, czy smakuje mu ryba, kapusta z grochem i inne potrawy (jest ich, jak policzył – równo dwanaście). To na pamiątkę dwunastu apostołów, mówi pani Irena. A dodatkowe nakrycie jest dla osoby, która może się pojawić, bo nie będzie miała gdzie spędzić Wigilii.

– Samotnej albo bezdomnej? – pyta. Pani Irena kiwa głową. Chociaż nigdy mi się nie zdarzyło, aby ktoś w Wigilię zapukał do drzwi i prosił o gościnę. A szkoda, bo chętnie bym przyjęła kogoś potrzebującego.

– Jak mnie, dopowiada Witek.

– Wituś, ty jesteś zaproszonym gościem – mówi pani Irena. To nie tak, jak mówisz.

Kiwa głową, że rozumie.

Pomaga pani Irenie zanieść brudne naczynia do kuchni. Ale nie zmywają, tylko wracają do pokoju. Pani Irena pyta, czy umie śpiewać kolędy. I nie czekając na odpowiedź, intonuje „Przybieżeli do Betlejem pasterze”. Podchwytuje, bo dobrze zna tę kolędę i bardzo ją lubi. Pani Irena obejmuje go i mocno ściska za ramiona. Śpiewają dłużej niż kwadrans: „Lulajże Jezuniu”, „Chodźmy wszyscy do stajenki”, „Wśród nocnej ciszy” i „Anioł pasterzom mówił”. Dobrze, że w domu dziecka wychowawczyni nauczyła ich śpiewać kolędy i teraz tak miło i pięknie śpiewa mu się je z panią Ireną. Jest mocno wzruszony, czuje się szczęśliwy, że jest w ciepłym i serdecznym dla niego domu. Do tej pory spędzał Wigilię w domu dziecka. Przyjemnie było, ale tak jakoś zwyczajnie i niezbyt odświętnie. Widział w filmach wyświe-

tlanych w telewizji domowe Wigilie w Ameryce czy Anglii, ale były jakieś inne niż te w domu dziecka czy teraz u pani Ireny. Czuł całym swoim chłopięcym sercem, że to, co przeżywa teraz – to nadzwyczajna chwila. Coś, co powoduje ciągle ściskanie w sercu czy napływanie łez do oczu. Ale to ze wzruszenia, że tutaj jest, u pani Ireny. Chciałby mieć taką matkę jak ona, ciepłą i kochaną. Całuje panią Irenę w policzek i w rękę. Mówi, jak bardzo dziękuje jej za zaproszenie do siebie, jak jest jej bardzo, ale to bardzo wdzięczny.

– Wituś, gładzi go po włosach ręką i całuje w nie i w czoło ciepłymi wargami. Przecież gdybym cię nie zaprosiła, sama musiałabym spędzić Wigilię i Święta. A tak jesteśmy razem i jest nam dobrze, prawda, chłopcze?

– Pani Ireno, a pani nie ma rodziny, żeby z nią spędzić Święta?

– Miałam, Wituś, ale wszyscy zginęli w wypadku samolotowym. Lecieli do Stanów Zjednoczonych do znajomych. Zostałam sama, jak widzisz.



– Tak jak ja, prawda? Pani też jest sierotą.

– No właściwie, tak, synku. Przytuliła go do siebie i znów pocałowała we włosy i czoło. Ale nie mówmy o tym teraz. W Święta Bożego Narodzenia trzeba się cieszyć i radować, bo przecież Syn Boży przyszedł na świat, aby nas zbawić.

– I kochać, otaczać opieką i miłością, jak pani mnie teraz, prawda.

– Tak, synku. Odpocznijmy teraz troszkę, a potem zaczniemy się szykować na Pasterkę. Pewnie jeszcze nie byłeś w kościele o północy.

– Nie, nie byłem. Pewnie będzie pięknie.

– Pięknie, pięknie, synku.

Kiedy wychodzili z domu, akurat zaczął padać śnieg. W wirujących płatkach śniegu, obsypywani białym puchem, szli do kościoła na Pasterkę. Szczęśliwe sieroty. On, chłopiec z domu dziecka.

I ona, samotna kobieta, którą dotknęło kiedyś nieszczęście. Ale myślała teraz tylko o tym chłopcu, który szedł koło niej. Porozmawia, gdy wróca, czy nie chciałby zostać u niej na stałe. Z dała kościół wyglądał jak piękny pałac z bajki, posypany śniegiem i rozświetlony. Pomyślała: „Bóg się rodzi, moc truchleje”.

Pierniczki

Zanim zaczęto spożywać pierniczki dla przyjemności, początkowo używane były w medycynie jako środek pobudzający trawienie, a także jako suchary – ze względu na ich trwałość, spowodowaną właściwościami miodu. Używano ich też jako zakąskę do wódki – szczególnie ze względu na ostry smak. Ten smak, pikantny i konkretny, pierniki zawdzięczają przyprawom korzennym, którymi pachnie niemal w każdym domu przed świętami – imbir, cynamon, goździki i pieprz, stąd też ich nazwa: pierny – po staropolsku pieprzny.

W dawnej Polsce pierniki spożywane były głównie przez mieszczan i szlachtę, w bardziej ozdobnych formach używane były jako upominki, szczególnie te kolorowane, złocone, rzeźbione przez piekarzy-snycerzy, ale najczęściej po prostu wypiekane w domu. Kształty ich były najróżniejsze, przedstawiały figury ludzi – królów i królowe, żołnierzy, postaci religijne: Matkę Bożą z Dzieciątkiem, anioły, św. Mikołaja – zwierząt, zarówno domowych, jak i dzikich, a nawet egzotycznych oraz postaci z bajek.

Cukier i słodycze, które robiono na jego bazie, były rarytasem niedostępnym każdemu, niezwykle drogie, w XVII wieku jeden kilogram cukru kosztował więcej niż dwa woły! A wszystko dlatego, że otrzymywano go z trzciny cukrowej. Dopiero w 1748 roku niemiecki naukowiec Andreas Marggraf opracował metodę pozyskiwania cukru z buraków cukrowych, zaś pierwsza w Europie cukrownia powstała w 1802 roku (w Konarach, obecnie na Dolnym Śląsku, wówczas na terenie Prus). Do tego jednak czasu tańszym i dostępnym szerzej środkiem słodzącym był miód. Stosowano go przy wypiekach, najczęściej miodowniku – chlebie na miodzie. I to miód właśnie, oprócz korzennych przypraw, jest tajemnicą smaku pierników – prawdziwej arystokracji wśród pieczywa.



KB

Jest grudzień – w większości domów ciasto na pierniki już od dawna „przegryza się”, czekając na upieczenie. W zależności od przepisu, leżakuje kilka godzin lub kilka tygodni – pachnąc kardamonem, gałką muszkatołową i goździkami i kusząc do podskubywania. Lada chwila mamy wraz z dziećmi wezmą się za pieczenie pierników w postaci ciasta przekładanego marmoladą, konfiturami, marcepanem i kremem, oraz ciasteczek, które zawisną na choince. Ten zwyczaj wywodzi się jeszcze z czasów, kiedy orzechami, jabłkami, „światami” z opłatka i pierniczkami zdobiono podłazniki – gałęzie iglaków wieszane w Wigilię Bożego Narodzenia nad progiem, co miało zapewnić powodzenie i urodzaj w kolejnym roku.



Już sam zapach pierniczków jest wystarczająco smakowity, jednak chętnie ozdabiamy je na wszelkie sposoby – orzeszkami, rodzynkami, skórką pomarańczową, lukrem, czekoladą i kolorowymi witrażami. Oprócz walorów estetycznych, zdobienie pierniczków ma inny, rodzinny aspekt – to świetna okazja do wspólnego przygotowywania się do świąt i spędzania czasu z dziećmi. Jest to również znakomity pomysł na prezent – samodzielnie upieczony, ozdobiony, zawinięty w celofan, zawiązany choćby rafią czy wstążką, piernik ucieszy z pewnością każdego.

Najprostszym sposobem przy robieniu pierniczków jest użycie gotowych foremek – w sklepach spotykamy je w różnych kształtach – bałwanki, anioły, choinki, serca, gwiazdki. Można również samemu wyciąć nożem dowolną formę. Przed włożeniem do piekarnika trzeba pamiętać o zrobieniu dziurek, żeby łatwiej zawiesić je potem na choince. Po upieczeniu układamy je na tacę, duży talerz itp. i nadchodzi czas na najprzyjemniejszy etap – dekorowanie.



Przepis na marcepan:
– 30 dag migdałów
– 30 dag cukru pudru
– 1 kieliszek koniaku (lub 3 łyżki soku z cytryny)
Migdały parzymy wrzątkiem, zdejmujemy skórki, osuszamy lekko w ciepłym, piekarniku po czym dwukrotnie mielimy. Następnie ucieramy je w makutrze, dodając cukier puder i koniak (lub sok z cytryny). Uartą masę podgrzewamy w rondlu, ciągle mieszając, aż zacznie odstawać od dna, po czym zawijamy w wilgotną lnianą szmatkę i zostawiamy na trzy dni.

Przepis na witraże:
Zanim włożymy pierniczki do piekarnika,ycinamy w nich otwory (w dowolnym kształcie – gwiazdki, koła, okienka – jeśli zamierzamy zrobić domek) i po położeniu na blasze, wkładamy w nie kolorowe landrynki – jeśli otwór jest duży, to więcej, jeśli mniejszy, wystarczy jedna. Pierniczki witrażowe pieczemy troszkę krócej niż inne, żeby nam się landrynki nie rozlażyły po całej blasze, a po wyjęciu z piekarnika czekamy, aż zastygną.



Przepis na lukier:
– 1 białko
– 180 g przesianego przez sitko (ważne!) cukru pudru
– sok z cytryny
– 1 płaska łyżka mąki ziemniaczanej

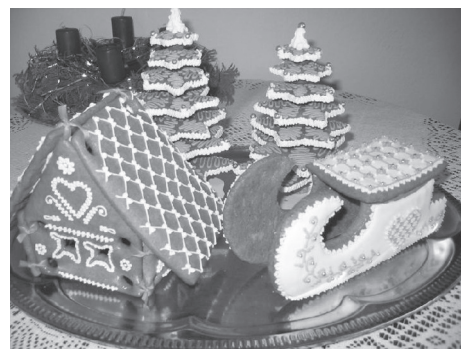
Ubijamy białko z cukrem i stopniowo dodajemy do niego mąki ziemniaczanej i odrobinę soku z cytryny. Masa musi być bardzo gęsta, o konsystencji przypominającej bitą śmietanę.

Jeśli ktoś lubi, może zdobić pierniczki białym lukrem, jeżeli woli kolorowy, łatwo go zabarwić np. sokiem z buraków albo barwnikami spożywczymi.



Lukrem można polać całą powierzchnię piernika albo narysować fantazyjne wzorki. Do robienia takich wzorków najlepiej posłużyć się dekoratorem do tortu albo wykorzystać gotowe pisaki do tortów (np. Schwartau), którym obcinamy koniec

tubki, myjemy po poprzednim barwniku i nakładamy do tubki lukier. Potem wystarczy zakleić koniec szeroką taśmą papierową i lukrowy pisak gotowy. Można też użyć zwykłego foliowego worka z wyciętą w rogu małą dziurką.



Zarówno lukier, jak i czekolada są znakomitą „klejem” do pierników – można dzięki nim tworzyć domki, szopki, sklejać ciasteczka ze sobą – np. mniejszą gwiazdkę z większą, a jeśli jest ich więcej, wychodzi... choinka.



Życzymy naszym Czytelnikom, by ich pierniczki nie były zwykłymi ciastkami, ale wyrazem miłości i życzliwości. Żeby oprócz mąki, miodu i zwykłych przypraw można w nich było wyczuć radość z pieczenia, chwil spędzonych wspólnie z dziećmi na dekorowaniu, by ciepło rodzinne biło od nich równie mocno jak zapach korzeni.

Agnieszka Gil

*Choinka już ubrana, lampki kolorowo świecą,
Dzielimy się opłatkiem w ten przepiękny wieczór,
Śpiewamy koledy, w ich rytmie się kołysząc.*

*Śnieg zaczyna padać, by okryć swą kolderką,
Ten świat mały, niczym wody kropelką.*

*A my czekamy na urok świąt największy,
Oczywiście na nasze oczekiwane prezenty.
Każdy swój podarek rozpakował,
I cieszy się, że magii świąt zasmakował.*

*Siedzimy tak przy stole,
Stare czasy wspominając i śmiejąc się wspólnie
Jak na rodzinę przystało.*

Klaudia Gadowska

Dlaczego często chorujemy?

Stan zdrowia mieszkańców pozostawia wiele do życzenia. Być może powodem chorób jest... brak zimy. Poniżej przedstawiamy zdanie wrocławskiego lekarza, zaczerpnięte z jego ulotki informacyjnej.

Ciągle jesteśmy narażeni na działanie obecnych w naszym środowisku: bakterii, wirusów, grzybów, pierwotniaków, obcych naszemu organizmowi substancji chemicznych. Gdyby nie układ immunologiczny (odpornościowy), nasz organizm znalazłby się w śmiertelnym zagrożeniu. Tak dzieje się przecież z AIDS.

Od naszych narodzin, układ ten ulega ciągłym przemianom i dostosowuje się, aby sprostać obronie przed atakującymi intruzami. Przy sprawnym systemie immunologicznym dajemy sobie radę i nie ma większych problemów zdrowotnych. Z niezbyt sprawnym – też jakoś dajemy sobie radę, ale przypłacamy to częstymi zachorowaniami. Z ciężko chorym układem immunologicznym (np. AIDS, nowotwory złośliwe) – przypłacamy życie.

Układ odpornościowy człowieka jest systemem integracyjnym organizmu, pracującym w ścisłej kooperacji z układem nerwowym i endokrynologicznym. Posiada mechanizmy uczenia się rozpoznawania tego, co swoje, a co obce. Służą temu: przeciwciała, komórki-naturalni zabójcy, makrofagi, neutrofile, limfocyty B.

Aby nasz układ skutecznie nauczył się tych funkcji, musi:

1. mieć styczność i wyzwanie ze strony „wroga”, czyli np. wirusów, bakterii.
 2. mieć sprawny organizm za to odpowiedzialny, czyli sprawną np. grasicę czy szpik.
- W pierwszym przypadku banalne infekcje są czymś normalnym i pożądanym. Byle nie za często i nie ciężkie. Nadmierna higiena – co już udowodniono – nie sprzyja takiej nauce, a ludowe powiedzenie „częste mycie skraca życie” nie jest takie głupie jak nam się przez lata wydawało. 70% infekcji ucha, gardła, nosa to infekcje wirusowe, w których antybiotyki są nieskuteczne.
 - Wizyty u lekarza powinny w tym przypadku pomóc w fachowym określeniu, czy infekcje są:
 - A) niegroźne, tak ma być i należy cierpliwie czekać na koniec choroby, bo leczenie, jakie znamy, nie jest wiele warte.
 - B) groźne, są już powikłania i ruszamy z konkretnym przyczynowym i objawowym leczeniem.
 - W drugim przypadku, sprawny organizm pracuje tylko w przyjaznym otoczeniu. Stresy, otaczająca nas „chemia”, niewłaściwe odżywianie, brak pozytywnego myślenia, no i nadmierna antybiotykoterapia,

doprowadzają do przyspieszonego zaniku grasicy.

Niestety, spadek odporności immunologicznej jest obecnie bardzo częstym zjawiskiem, zarówno u dzieci, jak i u dorosłych. Prowadzi to w konsekwencji do przewlekłych i długotrwałych infekcji, a nawet zagrażających życiu schorzeń. Te schorzenia to:

- częste infekcje o dużej, czasem całkowitej odporności na antybiotykoterapię,
- choroby nowotworowe, które są wyrazem zupełnej bezradności układu immunologicznego,
- alergię – czyli nadmierna i chorobliwa reakcja na coś normalnego, np. pyłki,
- fibromyalgie: osłabienie, bóle mięśni, stany podgorączkowe, zmęczenie, nadwrażliwość jelita grubego, bezsenność, suchość spojówek, stała obecność niektórych wirusów,
- niedobory mikroelementów i witamin, depresję coraz częściej nękające i dzieci, i dorosłych.

Przyczyny:

- zatrucie środowiska związkami chemicznymi,
- emitowanie szkodliwych fal elektromagnetycznych, nadmierne spożywanie konserwantów, tzw. uszlachetniaczy w jedzeniu,
- nadużywanie narkotyków, alkoholu, tytoniu, słodczy i innych używek,
- przepracowanie i stres wynikający z tempa współczesnego życia.

Obecnie, mimo coraz lepszych i szerzej działających antybiotyków, nawracające zakażenia są coraz większym problemem. Stosowanie antybiotyku w każdej powtarzającej się infekcji nie sprzyja rozwojowi naturalnych mechanizmów obronnych organizmu. Sytuacje częstych, powtarzających się zachorowań, leczonych tylko objawowo – np. antybiotykami – sprawiły, że coraz częściej w praktyce stosuje się leki i suplementy zwiększające odporność immunologiczną organizmu. Ich oddziaływanie na organizm jest różne, nieraz wątpliwe, często niepokrywające się z naszymi oczekiwaniami.

Leki immunologiczne dzielimy na:

1. immunostymulacyjne, które stymulują układ do pracy, wymuszają one jedynie aktywność niekompetentnego układu immunologicznego. Są to wszelkiego rodzaju szczepionki. Zawarte w nich zabite szczepy bakterii wymuszają mobilizację układu immunologicznego. Ta forma leczenia jest moim „konikiem”,
2. immunosupresyjne, które eliminują niekorzystne komórki czy reakcje z tego układu,
3. immunomodulujące, które zaopatrują układ immunologiczny w komórki dojrzale, sprawne i w dostatecznej ilości. Słowem, porządkują rozbabrany samo-

chodowymi spalinami, antybiotykami, chemicznymi poprawiaczami np. jedzenia, układ immunologiczny. Mój drugi „konik”,

4. homeopatyczne – leczenie, którego metody szanuję, bo mądre, ale nie znam się na tym kompletnie, więc odsyłam do mądrych w temacie.

Teoretycznie idealne leczenie to:

1. objawowe, wspomagające organizm np. antybiotykami, gdy nie może sobie sam z bakteriami dać rady i reaguje nadmierną gorączką bądź powikłaniami infekcji,
2. zmuszenie organizmu do wyprodukowania takiej ilości komórek czy substancji, aby infekcje występowały rzadko, przebiegały sprawnie i szybko. Temu służy immunostymulacja i immunomodulacja,
3. leczenie niedrogie, o udowodnionej skuteczności. Znam dobrze i stosowałem wiele lat leki takie, jak: Broncho-Vaxom, Padma, Lymphosil, wiesiołek (Oeparol), jeżówka (Echinacea), Ribomunyl, Polyvaccinum, Panodinum, Luivac, IRS-19, Biostymina, wyciąg z grasicy (TFX), Transfer Factor, Delbeta. W niektóre z nich dalej wierzę i stosuję. Niektóre w doniesieniach naukowych nie mają udowodnionej skuteczności, a niektóre są dobrym źródłem niewybrednego wyrzucania pieniędzy od pacjenta,
4. naturalna immunostymulacja – jest infekcja, więc ufając lekarzowi – to najważniejsze i najtrudniejsze – powstrzymuję się od ingerencji np. antybiotykami. Zmuszam organizm do podjęcia walki z intruzem, jedynie lekko mu pomagając. Np. wysoka gorączka – zbijam ją, męczący kaszel – hamuję, za duże odkrztuszanie – rozluźniam wydzielinę, uszkodzone wirusem naczynia krwionośne – wzmacniam witaminą C, rutinascorbinem.

Wnioski: Uzbrojony w taką książkową wiedzę, doświadczenie i wewnętrzne przekonania, przekazuję je Pani/Panu, życząc w Nowym Roku tego samego wraz ze stosowaniem ich w niewydzielnym temacie częstych infekcji i alergii.

lek. med. Aleksander Faliński

FIRMA HANDLOWO-USŁUGOWA Piotr Moroski & Wojciech Moroski

ul. Długosza, Wrocław
(teren Składu Opału)
tel. (0-71) 325 00 43
501 667 720
663 781 269

skład drewna

SKANDAL

Wszystko wskazuje na to, że przygotowywane przez Komisję Kodeksu Żywnościowego WHO oraz Unię Europejską rozwiązania prawne, mające na celu faktyczną delegalizację od 1 stycznia 2010 r. naturalnych preparatów oraz związanych z nimi terapii, są elementem starannie zaplanowanych działań, za którymi kryją się interesy światowego przemysłu farmaceutycznego.

Projektom tym trzeba się przeciwstawić z całą mocą i determinacją, w czym może pomóc akcja międzynarodowych protestów, która wymusi przeprowadzenie w państwach członkowskich UE referendum dotyczącego naturalnych środków leczniczych. Aby doszło ono do skutku, konieczne jest zebranie w tej sprawie miliona podpisów.

Chodzi o skandaliczny projekt, zgodnie z którym od 31 grudnia 2009 r. mieszkańcy państw wchodzących w skład Unii Europejskiej mieliby zostać pozbawieni możliwości korzystania z naturalnych terapii oraz dostępu do ziół, suplementów i witamin.

Podstawowe założenia planowanych regulacji są z grubsza takie, że po pierwsze od 2010 r. cała żywność, jaką spożywamy, miałaby być obowiązkowo „napromieniowana” i dodatkowo naszpikowana tzw. dodatkami chemicznymi oraz pestycydami, nadal nosząc nazwę „żywności ekologicznej”(!). Po drugie, od tego momentu nielegalna stałaby się sprzedaż naturalnych witamin, suplementów mineralnych oraz ziół wraz z bazującymi na nich terapiami. Po trzecie, wszystkie zwierzęta – włącznie z hodowanymi ekologicznie – będą musiały obowiązkowo zażywać antybiotyki i hormony wzrostu, wreszcie po czwarte, z upływem czasu przydomowa uprawa własnych owoców i warzyw ma zostać objęta ścisłymi uregulowaniami i nie będzie możliwa bez zezwolenia.

Oficjalne uzasadnienie tych kuriozalnych – bo one są kuriozalne – nakazów i zakazów sprowadza się do obłudnego twierdzenia, że chodzi o ochronę ludzkiego zdrowia. W rzeczywistości, jak niestety się domyśleć, kryją się za nimi bezwzględne interesy wielkich koncernów farmaceutycznych, dla których natural-

ne preparaty i terapie są od dawna solą w oku, gdyż stanowią dla nich konkurencję i redukują krociowe zyski wspomnianych firm, zarabiających bez umiaru i jakichkolwiek skrupułów na ludzkich chorobach. To także perfidny i – w tym przypadku nie ma co owijać słów w bawełnę – wyjątkowo bezczelny zamach na podstawowe prawa człowieka, wśród których jednym z najważniejszych, o czym wielokrotnie pisaliśmy, jest prawo wolności wyboru takich metod i terapii, jakie każdy z nas uznaje dla siebie za najbardziej właściwe.

Wokół tej sprawy od kilku miesięcy narasta wrzenie, głównie jednak w Internecie. Natomiast tzw. oficjalne media starają się ją najwyraźniej wyciszyć i bagatelizować. Jednocześnie towarzyszą temu prasowe kampanie, mające na celu dyskredytowanie terapeutycznej wartości witamin, ziół oraz rozmaitych naturalnych suplementów żywnościowych. Cała ta gra jest przy tym szyta tak grubymi nićmi, że można jedynie zastanawiać się, czy ludzie, którzy ją rozpoczęli i cynicznie prowadzą, rzeczywiście uważają adresatów wspomnianych tez (czytaj: społeczeństwo, nas wszystkich) za skończonych idiotów, czy po prostu nie przejmują się reakcjami na swoje poczynania, z góry zakładając, że i tak osiągną założone cele. Ich zamysły mogą zostać zablokowane jedynie poprzez zorganizowany międzynarodowy ruch protestu, którego najbardziej skuteczną formą jest inicjatywa na rzecz przeprowadzenia unijnego referendum dotyczącego naturalnych środków leczniczych.

Aby doszło ono do skutku, pod petycją w tej sprawie, która jest dostępna na stronie internetowej: http://www.eu-referendum.org/polski/petitions/natural_remedies_info.html, musi zostać zebranych milion podpisów. Nie trzeba też dodawać, że jej podpisanie jest nie tylko moralnym i etycznym obowiązkiem, lecz leży w żywotnym interesie nas wszystkich, naszego zdrowia i prawa do decydowania o tym, co jemy, jak żyjemy i jak się leczymy.

Prawdziwe przyczyny zmasowanego ataku na zioła i witaminy, wszczętego pod pretekstem ich rzekomej szkodliwości lub bezwartościowości – z punktu widzenia terapeutycznego – działania, są równie oczywiste, co oburza-

jące. Chodzi przede wszystkim – jeśli nie wyłącznie – o to, że witaminy, zioła i wiele innych naturalnych preparatów leczniczych nie są objęte ochroną patentową, w związku z czym przemysł farmaceutyczny próbuje doprowadzić do ich całkowitego wyparcia z rynku po to, by ludzie zażywali wyłącznie oferowane przezeń leki, których sprzedaż przynosi krociowe zyski, mimo że środki te często charakteryzują się niekorzystnymi działaniami ubocznymi. I żadne pseudo argumenty mówiące o ochronie zdrowia publicznego – jako przesłance leżącej u podstaw wspomnianych drażliwych ograniczeń i zakazów – nie są w stanie zamazać tej prawdy oraz towarzyszących jej cynicznych działań.

To, z czym mamy obecnie do czynienia, stanowi być może najpoważniejszą od lat konfrontację w bitwie o ludzkie zdrowie i wolność obywatelską. Dlatego – przyłączając się do międzynarodowej akcji protestu wobec projektowanych zamierzeń – apelujemy do Czytelników Nieznanego Świata o masowe podpisywanie petycji o przeprowadzenie w Unii Europejskiej Referendum na rzecz Naturalnych Środków Leczniczych za pośrednictwem podanej wcześniej strony internetowej. Jeśli nie mają Państwo bezpośredniego dostępu do Internetu – uczynicie to przy pomocy członków swojej rodziny, przyjaciół czy znajomych, którzy takim dostępem dysponują. Nie lekceważcie, proszę, tej sprawy, gdyż każdy głos i podpis może okazać się na wagę złota! Nie pozwólmy, by unijni urzędnicy i ich mocodawcy poza naszymi plecami arbitralnie decydowali o naszym zdrowiu, bezwstydnie wmawiając ludziom, że czynią to dla ich dobra. Nie pozwólmy również – w swoim najlepiej pojętym interesie – by projekty mające wszelkie cechy brutalnego zamachu na podstawowe prawa i wolności obywatelskie przybrały postać ustawowych zapisów.

Dla jasności: byliśmy od początku i jesteśmy nadal zdecydowanymi zwolennikami członkost



Tajemnica Gwiazdy Betlejemskiej

Najpiękniejszym i najradośniejszym świętem w roku jest Boże Narodzenie. Jezus Chrystus urodził się w Betlejem, znajdującym się 9 km od Jerozolimy.

Jerozolima położona jest w terenie obfitującym w liczne grotę, wykorzystywane przez ówczesnych pasterzy jako schronienie dla nich samych oraz dla wypasanych przez nich zwierząt. Jezus narodził się w jednej z takich grot, pełniącej rolę stajenki. Niezwykle tajemniczym wydarzeniem towarzyszącym narodzinom Chrystusa były odwiedziny mędrców ze wschodu, nazywanych powszechnie Trzema Królami.

Jako dziecko wielokrotnie zastanawiałem się, skąd konkretnie przybyli ci mędrcy i dlaczego odwiedzili Heroda, sprowadzając na Świętą Rodzinę śmiertelne niebezpieczeństwo. Oglądając szopki i patrząc na wspaniałe ubiory królów, nabrałem przekonania, że przybyli oni z Indii. Zdawałem sobie oczywiście sprawę z tego, że są to tylko moje domysły i zawsze z odrobiną żalu w sercu myślałem, że w rzeczywistości nigdy nie dowiemy się, skąd mędrcy przybyli, kim byli i dlaczego zawitali do Heroda.

Dlatego gdy cztery lata temu przeczytałem w „Delcie” artykuł „Gwiazda Betlejemska”, autorstwa Jadwigi Donatowicz, wywarł on na mnie ogromne wrażenie. Autorka artykułu, podczas studiów astronomicznych w Wiedniu, miała szczęście poznać prof. Konradina Ferrari d’Ochieppo z Innsbrucku, astronoma, który znaczną część swojego życia poświęcił badaniom archeo-astronomicznym dotyczącym „Gwiazdy Betlejemskiej”. Profesor swoimi pracami przyczynił się do rozszyfrowania babilońskich glinianych tabliczek kalendarzowych i obliczeniowych z zapiskami w piśmie klinowym, jak też do ich astronomicznej interpretacji. Swe rozważania profesor d’Ochieppo zawarł w znakomitej książce pod

tytułem „Der Stern der Weisen” – Geschichte oder Legende? („Gwiazda mędrców” – historia czy legenda?).

Można zapytać – skąd pomysł, aby w czasopiśmie matematycznym pisać o „Gwieździe Betlejemskiej”? Dla uzasadnienia powołałam się na wypowiedź prof. dra hab. Zbigniewa Marciniaka, obecnie wiceministra w Ministerstwie Edukacji Narodowej. Profesor przedstawia dalekowzroczny sens uczenia matematyki w szkole: „Rozumowanie to jest sedno matematyki. Jeśli jest sens uczyć matematyki w szkole, to przede wszystkim taki, żeby nauczyć (...) rozumować”. Każdy, kto choć trochę zna się na poprawnym, precyzyjnym i logicznym rozumowaniu, w artykule autorstwa Jadwigi Donatowicz od razu dostrzeże wszystkie te cechy. To artykuł spełniający wszystkie, nawet najsurowsze wymogi stawiane przed pracami matematycznymi – jest on niezwykle konsekwentny i logiczny. W książce profesora d’Ochieppo nie ma powoływania się na żadne autorytety i opinie innych ludzi. Są tam podane jedynie fakty, których istnienie nie podlega dyskusji, i na ich podstawie profesor konsekwentnie wyciąga szereg wniosków, które łączy w spójną i logiczną całość. Jeśli ktoś zna sposoby budowania różnych teorii matematycznych, w konstrukcji stworzonej przez austriackiego astronoma od razu dostrzeże wielkie podobieństwo do tego, jak buduje się takie teorie. Zresztą nic w tym dziwnego, bo każdy astronom jest astrofizykiem, a więc jak każdy fizyk również jest po części matematykiem. Autorka artykułu „Gwiazda Betlejemska”, Jadwiga Donatowicz, doskonale oddała walory książki profesora d’Ochieppo i to właśnie zalecałoby się w „Delcie”, zamieścić ją w naszym piśmie „Tajemnicę Gwiazdy Betlejemskiej”.

Zwyczaj zliczania lat od daty narodzin Chrystusa wprowadził w roku 525 (czyli 1278 od założenia Rzymu) uczony mnich Dionisius Exiguus. Dokładny rok narodzin Chrystusa ustalał w ten sposób, że wiedząc na podstawie Ewangelii, iż ucieczka Świętej Rodziny do Egiptu trwała cztery lata i skończyła się z chwilą śmierci Heroda Wielkiego, więc do czterech lat – tyle, ile trwała ucieczka – dodał te lata panowania cesarza Oktawiana Augusta, które przypadają na okres już po śmierci Heroda Wielkiego, i do tego następnie dodał lata panowania cesarzy rzymskich, którzy byli po Oktawianie. Niestety, popełnił błąd. Mianowicie jednego z cesarzy, który panował 7 lat, przeoczył i dlatego właśnie datę narodzin Chrystusa określił na 7 lat za późno. W rzeczywistości więc Chrystus urodził się 7 lat wcześniej i w związku z tym, gdyby nie pomyłka mnicha Dionisiusa Exiguusa, mielibyśmy obecnie 2015 rok. Fakt tej pomyłki znany jest od dawna i tutaj profesor d’Ochieppo nie wniósł nic nowego. Sama pomyłka oczywiście nie wyjaśnia nic na temat Gwiazdy Betlejemskiej, pozwala jednak dokładnie określić, że poszukiwane wydarzenie miało miejsce w 7 r. p.n.e.

W Ewangelii według Świętego Mateusza jest mowa o „gwieździe”, która mędrcom ze wschodu wskazywała drogę do Betlejem. Ruchy ciał niebieskich są obecnie tak dobrze znane, że dość łatwo jest odtworzyć ich pozycje, sięgając nawet do kilku tysięcy lat wstecz. We wspomnianej Ewangelii mowa jest o „magach ze wschodu”. Jedynym w owym czasie znaczącym centrum „gwiazdoznawstwa” na wschód od Palestyny był Babilon. Co do „magów”, to chodziło najprawdopodobniej o uczonych kapłanów świątynnych z Babilonu, którym ruchy „gwiazd wędrownych”, czyli planet, dobrze były znane.

I rzeczywiście, istnieje znaczna liczba zapisów w piśmie klinowym na tabliczkach glinianych z tego okresu, umożliwiających wgląd w późnobałkańską astronomię. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że ówczesni znawcy nieba nie byli naukowcami we współczesnym tego słowa znaczeniu. Tamtejszy świat nacechowany był mistyczno-magicznym postrzeganiem rzeczywistości. Gwiazdy były bóstwami i demonami zarazem, a ich bieg obserwowano nie dlatego, żeby zgłębić prawa rządzące ich ruchem, lecz by móc przewidzieć ich wpływ na człowieka. Szczególne znaczenie ma tutaj hierarchia, którą przypisywano planetom-bogom. Na pierwszym miejscu królował Jowisz. Jego białe-srebrne światło i majestatyczna pozorna wędrówka po niebieskim zodiaku w 12-letnim cyklu nadały mu dominującą pozycję na nieboskłonach. Późnobałkańscy „gwiazdoznawcy” czcili w nim Marduka – najwyższe bóstwo. Gliniane tabliczki przekazują zapis o niezwykle rzadkim, potrójnym spotkaniu Jowisza i Saturna, i to dokładnie w roku 7 (według dzisiejszego kalendarza) przed narodzeniem Chrystusa. Jest to właśnie poszukiwany przez nas okres.

Jakie astrologiczne znaczenie przypisywane było Saturnowi? Uważany był on za planetę narodu żydowskiego, co również wynika z przekazu w słynnych zwojach pism znalezionych w Qumran. Poza – typowym wówczas – porządkowaniem planet narodom znaki zodiaku znajdowały swoje odpowiedniki w poszczególnych krajach. I tak na przykład Ryby stanowiły symbol Palestyny.

Podsumujmy to. Potrójne spotkanie Jowisza z Saturnem (tak zwana wielka koniunkcja) była absolutnie rzadkim i o wyjątkowo dużym znaczeniu wydarzeniem dla – mistycyzmem i magią naznaczonego – ówczesnego sposobu myślenia. Do tego dochodzi jeszcze fakt, że Jowisz, najwyższe bóstwo Babilonu, spotyka Saturna, kosmicznego przedstawiciela narodu żydowskiego, i to akurat w znaku Ryb, będącym symbolem Palestyny. Jest bardzo wysoce prawdopodobne, że takie zjawisko było interpretowane jako wskazówka narodzin Króla Żydowskiego w Jeruzolimie. I faktycznie – konstelacja ta była tak niezwykle rzadka i dla magów tak bardzo przekonująca, że udali się w daleką, pełną trudów i niebezpieczeństw drogę, aby nowo narodzonego Królowi oddać należny pokłon.

Jeśli chodzi o czas widoczności wielkiej koniunkcji Jowisza i Saturna, to w zapiskach babilońskich odnajdujemy całkiem precyzyjne informacje: podczas gdy Jowisz po okresie swojej niewidoczności spowodowanej bliskością Słońca, 15 marca (7 roku przed Chrystusem) pojawił się ponownie na porannym niebie (tak zwany wczesny wschód), przyszło słabszemu co do jasności Saturnowi poczekać na podobne warunki aż do 4 kwietnia tegoż roku. (W źródłach oryginalnych daty te podawane są naturalnie w terminologii i w systemie kalendarza babilońskiego). W czasie pierwszej widoczności na porannym niebie obie planety dzieliło kilka dobrych stopni. Odległość ta jednak zmniejszała się szybko i z początkiem pętli opozycyjnej,

zakreślonej na niebie przez Jowisza, wynosiła już tylko około 20°.

W tabliczkach kalendarzowych szczególnie zaznaczona jest pora tuż przed właściwym położeniem opozycyjnym, kiedy to 15 września (7 roku przed Chrystusem) obie planety równocześnie weszły na wieczornym niebie (tak zwany wschód wieczorny), będąc oddalonymi od siebie zaledwie o 10°. Odległość ta zmniejszyła się następnie aż do kilku zaledwie sekund. Najprawdopodobniej w tym właśnie czasie mędrcy rozpoczęli swoją podróż, gdyż teraz ta niezwykła konstelacja widoczna była przez całą noc. Według tego można szacować, że ich przybycie do Jeruzolimy najprawdopodobniej miało miejsce w dwa miesiące później, a więc około połowy listopada. Kiedy więc magowie zawitali do Heroda, ten wypytał żydowskich uczonych w piśmie i kapłanów, gdzie ów rzekomy Król Żydów miał się narodzić. Dopiero od niego wędrowcy dowiedzieli się, że to „w Betlejem stać się miało”. Jeszcze tego samego wieczoru opuścili Jeruzolimę i udali się w drogę do miasteczka położonego 9 km na południe. Wkrótce po zachodzie Słońca ujrzeli Jowisza i Saturna, ich „gwiazdę”, niecałe 500 nad horyzontem, niemal dokładnie w kierunku drogi, którą podróżowali. Wydawało się, że gwiazda wskazywała im drogę. Co więcej, wrażenie to przypuszczałnie wzmocnił widok światła zodiakalnego. Jest to poświata rozciągająca się wzdłuż ekliptyki, będąca efektem rozproszenia światła słonecznego przez pył międzyplanetarny skupiony właśnie w płaszczyźnie ekliptyki. Owego wieczoru „podwójna gwiazda” ukazała się na szczycie słupa światła zodiakalnego, czyli praktycznie nad celem podróży magów. Ponieważ światło zodiakalne można dostrzec tylko pod nieobecność jasnego Księżyca, data przybycia magów do Betlejem daje się ustalić na okolicie 12 listopada.

W przekazie św. Mateusza wymieniona jest tylko jedna gwiazda, gdy tymczasem tutaj mowa jest przez cały czas o dwóch gwiazdach (właściwie planetach). Jak tę sprzeczność wyjaśnić? Pomijając fakt, że dwa bardzo blisko (na linii widzenia) położone ciała niebieskie stworzyć mogą optycznie efekt jednego obiektu, wymienić należy istotny w tym kontekście dokument historyczny, datujący się na początek IV stulecia (najwyraźniej będący odpisem znacznie starszego dokumentu, zagubionego oryginału), znany pod nazwą „Papyrus – Codex Bodmer V”, który to wątpliwość usuwa. W greckim tekście tego papyrusu można przeczytać: „...ujrzeli gwiazdy i podążyli za nimi...”. Mamy tutaj nawet dwukrotny przekaz liczby mnogiej.

Jak więc doszło do tego, że w naszej „ikonografii żłóbkowej” zagnieździła się kometa? Jej twórcą jest słynny malarz Giotto di Bondone, który w jednym z fresków padewskiej kaplicy Capella degli Scrovegni al Arena uwiecznił temat narodzin Jezusa z kometa, jako Gwiazdą Betlejemską. Otóż w roku 1301 Giotto obserwował pojawienie się znacznej komety i będąc pod wpływem tego zjawiska, przeniósł je na wspomniany fresk. Obliczenia pozwoliły ustalić, że była to słynna kometa Halleya. Nie mogła być jednak Gwiazdą

Betlejemską, gdyż w 1695 roku Edmund Halley obliczył jej trajektorię i okres obiegu i w związku z tym wiadomo, że w 7 roku przed Chrystusem nie była widoczna. Może była to jednak jakaś inna kometa, na przykład taka, która pojawiła się tylko wówczas, i poruszając się po orbicie niebędącej elipsą, opuściła na zawsze nasz Układ Słoneczny. Fakt, że owe orientalne odwiedziny wywołały u Heroda niemałe zdziwienie – jako że nikt o nowo narodzonym Królu ani też o „gwieździe” nic nie wiedział – stanowi również swego rodzaju poszlakę, że nie mogło chodzić o komety, której rzucające się w oczy pojawienie z typowym warkoczem nie usłoby uwadze jego lub ludzi z jego otoczenia. Kiedyś, gdy nie było elektryczności i wielkomiejskie światła nie przysłaniały nieba, takie zjawiska jak pojawienie się komety z długim warkoczem nie mogłoby pozostać niezauważone. Przede wszystkim jednak w owym czasie komety traktowane były jako zwiastuny nieszczęścia. Nie mogły być zatem zapowiedzią radosnego wydarzenia, jakim były narodziny Króla. Podobnie i magowie nie byli prostymi ludźmi, którzy – przestraszeni nagłym zjawiskiem na niebie, jakim są komety – gnali do Judei, by szukać zaraz nowo narodzonego Króla – Zbawiciela! Przeciwnie – byli raczej wszechstronnie wykształconymi, poważnymi poszukiwaczami prawdy, wierzącymi, że poznali pewne zależności pomiędzy boskimi znakami na niebie a wydarzeniami na Ziemi.

Jadwiga Donatowicz, autorka znakomitego artykułu, którego wiernym odbiciem jest powyższy tekst, kończy go następującą refleksją:

„W ten sposób komety pozostały w naszych malowniczych żłóbkach i szopkach, czyniąc – z estetycznego punktu widzenia – wrażenie bardziej atrakcyjne aniżeli jakaś koniunkcja planet. Jednak – w swej nadzwyczajnej konstelacji – ta ostatnia właśnie stała się dla ówczesnych „gwiazdoznawców” wystarczającym powodem, aby udać się na poszukiwanie nowo narodzonego Króla. Kometa by tego spowodować nie mogła. Dlatego – kończąc – pozostaje jeszcze tylko zastanowić się, czy nauka wreszcie znalazła naturalne wyjaśnienie tamtego zjawiska i czy magowie – z dzisiejszego punktu widzenia – dzięki splotowi szczególnych przypadków odnaleźli drogę do Betlejem, czy też o wiele bardziej było to boskie zrządzenie, które wskazało im drogę do Mesjasza. A może po prostu nie ma tu sprzeczności?...”.

Powyższa refleksja mogłaby być tematem innego artykułu. Książd prof. dr hab. Michał Heller – jeden z najwybitniejszych kosmologów i astrofizyków świata, tegoroczny laureat Nagrody Templetona – w jednym ze swoich wywiadów powiedział: „Bóg jest Panem przypadku”.

Więcej o księdzu Hellerze było napisane w piątym numerze „Świata Matematyki”. Wszystkich serdecznie zapraszamy do zapoznania się z artykułem o tym wybitnym księdzu, a zarazem naukowcu w jednej osobie.

Eugeniusz Sikorski

artykuł pochodzi z ósmego numeru „Świata Matematyki”
przygotowanego z wykorzystaniem artykułu
„Gwiazda Betlejemską”, „Delta” 12/2004

Aniołek i Renifer

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Choinkowy Aniołek właśnie fruwał pośród gałązek. Nagle zobaczył coś błyszczącego. Zszedł niżej i spytał:

– Kim jesteś?

– Jestem Reniferem – odparł piękny, biały, błyszczący zwierzak – i bardzo lubię aniołki!

– Może pójdziesz ze mną do szopki? – spytał Aniołek.

– Bardzo chętnie – odrzekł Renifer.

Razem ruszyli na dół. Renifer ostrożnie schodził z gałązki na gałązkę, rozglądając się ciekawie dookoła. Aniołek przedstawiał mu wszystkich mieszkańców choinki:

– Popatrz, to jest Bałwanek, mój przyjaciel – wskazał skrzydłem na Bałwanka ze złotym dzwoneczkiem.

– A to drewniany Żołnierz, też się przyjaźnimy. Pożyczy mi czasami swoją trąbkę.

– Długo już idziemy, wielka i piękna jest twoja choinka – powiedział Renifer – nie widziałem jeszcze takiej. Tam, gdzie mieszkam, choinki są zielone i przykryte śniegową puszystą pierzyną.

– Naprawdę? – zdziwił się Aniołek.

– Tak. Nigdy nie widziałem takich pięknych kolorowych rzeczy, cóż to takiego?!

– To choinkowe łańcuchy – wyjaśnił Aniołek – ozdabiają nasze drzewko i pomagają się po nim wspinać.

– Popatrz – Aniołek wskazał coś ręką – już widać szopkę i kołyskę z Maleństwem.

– Co to za Maleństwo? – zdziwił się Renifer.

– To Jezusek, urodził się w stajence tej nocy. Chodź, pójdziemy Go przywitać!

Zeszli na sam dół i nieśmiało podeszli do szopki. Była kolorowa i ładna. Przywitali Marię i Józefa i patrzyli na śpiącego Jezuska. Dzieciątko miało małe oczka, małe rączki i spało tak słodko, że nie można było od Niego oczu oderwać.

Renifer z Aniołkiem poszli za szopkę. Renifer spojrzął w okno i zapytał:

– A co to jest?

– To są ozdoby okienne – rzekł Aniołek – Martynka z mamą wycinały je z papieru.

– A kto to taki ta Martynka? – zdziwił się Renifer.

– To dziewczynka, która w każde Święta ubiera naszą choinkę razem ze swoim tatusem.

– A gdzie ona teraz jest?

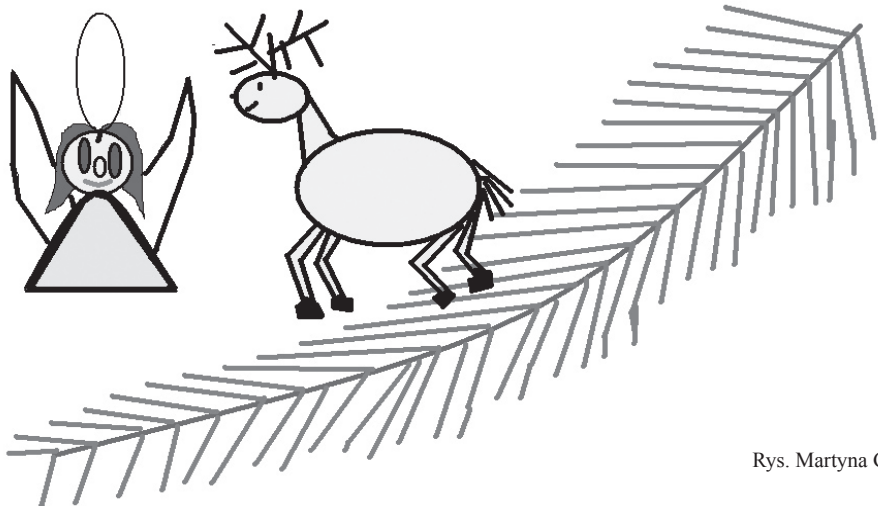
– Śpi, bardzo zmęczona po Pasterce.

– Pasterce? – podniósł brewki Renifer.

– Po mszy, na której witaliśmy Jezuska.

– Aha... Czy będę mógł poznać Martynkę?

– Zobaczysz ją jutro, jak się obudzi i przyjdzie do choinki.



Rys. Martyna Gil

– Czy będziemy mogli z nią porozmawiać? – poprosił Renifer.

– Niestety nie – odparł Aniołek – my, ozdoby choinkowe, możemy rozmawiać tylko w Wigilię, kiedy nas nikt nie widzi – wyjaśnił.

– A teraz patrz, nadchodzi świt. Chodźmy coś przekąsić.

Weszli z powrotem na choinkę i każdy z nich zjadł po słodkim, pachnącym pierniczku, które swoimi małymi paluszkami ozdobiła Martynka. Musieli najeść się na zapas, bo do następnej Wigilii jeszcze cały rok!

Martynka Gil
(kiedy to pisała, miała 6 lat)

Serwis internetowy **bromba.pl**
Gazeta **PAWŁOWICE** 

zapraszają na

Brombowe zimowanie na Pawłowicach

W programie spotkanie z najlepszą literaturą dla dzieci
- czytanie zimowych i świątecznych książek różnych autorów
i ciekawe zabawy - między innymi zgadywanki,
ubieranie choinki i lepienie bałwanów!

TRZEBA przyprowadzić ze sobą Mamę albo Tatę i zaopatrzyć się w dobry humor.

MOŻNA przynieść ze sobą ulubioną książkę o zimie, Bożym Narodzeniu, Mikołaju...

Spotkanie poprowadzi
Agnieszka Gil

Spotkanie odbędzie się
13 grudnia o godz. 10.45
w Świątlicy Parafialnej Pawelki przy ul. Starodębowej (salka przy kościele)

Redakcja: Anna Małaczyńska, Jerzy Szachnowski, Agnieszka Gil, Joanna Hułyk, Jacek Orzechowski (redaktor naczelny); **Korekta:** Dariusz Tokarz; **Wydawca:** Mediacom sp. z o.o.; **Druk:** Ultima Druk sp. z o.o.; **Kontakt:** Wrocław, ul. Krokusowa 44, ul. Jeziorowa 27; e-mail: jacek@artserwis.pl